

## Wojciech Stanisławski: Awantura o Zosię (oraz Protazego)

Nie masz właściwie w „Panu Tadeuszu” nieudomówień, trzeba mieć tylko bystry wzrok dr Kornelii Sobczak.

Spory o listę lektur szkolnych są nużące jak small talk na wernisażu, jak nerwowe sprawdzanie powiadomień, jak każda powtarzalna i nic nie stwarzająca czynność. Wiadomo, co powiedzą zwolennicy szkoły bezstresowej i współczesnej, entuzjaści odciążania i „podążania za zainteresowaniami młodych”, wiadomo też, w jakie dzwony bić będą ich oponenty. Wszystkie argumenty zostały już wypowiedziane, Stomile górą, wielka wydma sunie zgodnie z kierunkiem wiatrów; pozostało obracanie w spoconych dłoniach obłąkającej z farby kostki aporii. Nasze nawet bardzo stanowcze przekonania (jak w ogóle możliwe jest dopuszczanie do egzaminu maturalnego – że nie wspomnę już o urnie wyborczej – osób nie znających nowel Aleksandra Świętochowskiego czyli liryki Małgorzaty Hillar?!) niewiele zmieniają.

Zdarza się jednak czasem coś, co wyrwie nas na chwilę z odrętwienia. I nie jest to nawet spiżowy dźwięk rugowanego tytułu, tym bardziej że, jak zwykle, objaśnia się nas, iż „Pan Tadeusz” – jak podkreśla dr Kinga Białek, szefowa zespołu ekspertów MEN – zniknął przecież z listy lektur tylko w szkole podstawowej. Właściwie to i tam zresztą nie zniknął,

została bowiem „Inwokacja”, a ponadto nauczyciel, jeśli się bardzo uprze, może przecież wybrać i inne fragmenty. Po prostu – rzekłbyś – starszy anioł z uśmiechem tłumaczy nieporozumienie.

Więc nie, zwraca uwagę nie samo rozporządzenie Ministerstwa z dn. 11 marca dotyczące nowej podstawy programowej lecz – wśród licznych wypowiedzi, tłumaczących słusność tej decyzji ministerialnej, stojące za nią racje i niepotrzebne zaciętrzewienie krytyków – swego rodzaju *akord rozdąsany*.

## **Przeczytaj również: Gniazdko w hełmofonie – felieton Wojciecha Stanisławskiego**

Najwięcej takich wypowiedzi pojawiło się na łamach „Gazety Wyborczej”, gdzie przeciw bizarnej, niezrozumiałej ramocie, jaką jest poemat w dwunastu księgach, wypowiedziały się i wspomniana już dr Białek, i emerytowana polonistka Małgorzata Niemczyńska, i, jak czytamy w Wikipedii, „dziennikarka radiowa, recenzentka i krytyczka literacka, blogerka oraz ilustratorka” (a obecnie studentka ASP) Maja Sołtysik. Tag „Lektury szkolne” zdobył na stronie „Wyborczej” prawo obywatelstwa, prowadzi zresztą (algorytm wieje, kędy chce) w różne strony, w tym i do diatryby „A może da się żyć bez kodu kulturowego?”, z którą onegdaj wystąpiła inna polonistka, p. Aleksandra Korczak.

Zgoda tych tonów urzeka: „Lektury naszych babek”, „[dzieci] nie mają kompetencji” „nie znają słownictwa”, a nawet – co trochę może zaskakujące w tytule regularnie publikującym materiały organizacji pozarządowej Sexed.pl – „nie dorośli do tego”. „My naprawdę

myśleliśmy, że Telimenę i Tadeusza zaatakowały mrówki, dopiero na lekcji okazało się, że chodziło o zbliżenie!” – składa rączki w małdrzyk Maja Sołtysik.

Rzeczywiście, dziwnego słownictwa jest trochę. Jak nie „zaintromitował” to „mospan”, jak nie kwestarz, to świerzop. Zresztą, nie o wokabularz przecież chodzi: jest to opowieść kalendarzowo sprzed dwustu z okładem lat, o społeczności w zdecydowanej większości tkwiącej obyczajowo i mentalnie w epoce przedrozbiorowej, jeśli nie saskiej. Z całym szacunkiem dla wyliczeń bojowych polonistek – jest to świat naszych pra-pra-pra-pra-pra-pra-prababek. Świat odległy tak, jak odległy może być ogródek panny Jendykowiczówny w epoce przemysłowej hodowli drobiu, a karabela w czasach dronów. Świat przemielony przez osiem wojen (w tym dwie światowe), trzy wieki i dwa totalizmy, nieobecny we wspomnieniach ani obyczajach, przywracany najwyżej fantazmatycznie na kwadrans studniówkowego poloneza. Gdyby podjąć wykopaliska w poszukiwaniu mitycznego Soplicowa (może w Turganach Wereszczaków, może gdzieś indziej na Nowogródczyźnie?) trzeba by odwalić z półtora metra gleb bielcowych, przetykanych gdzieniegdzie spalenizną. Napiszmy to: jest to świat uczniom dzisiejszej podstawówki obcy. Świat obcych.

Tak jest. Czy jednak, że jednym z najważniejszych zadań naszych czasów – czytaliśmy o tym nieraz na łamach „Gazety” – jest walka z polaryzowaniem społeczeństwa według formuły „swój – obcy”? Że nie możemy dopuścić, by pod ciśnieniem ekonomii, polityki czy demografii doszła do głosu prymitywna ksenofobia? Czy cały, ogromny wysiłek dzisiejszych władz, w tym ministerstwa edukacji, nie służy temu, by nie dopuścić do straszenia cudzoziemcami? Czy przez największe polskie miasta nie przeszły kilka dni temu Marsze Antyrasistowskie? Zresztą,

mniejsza o politykę: czy możemy zlekceważyć derridańską kategorię „gościnności”, która wymaga otwarcia się na „innego” bez narzucania mu swoich zasad? Czy nie jest to jeden z filozofów inspirujących współczesnych reformatorów edukacji?

### **Przeczytaj również: Soplicowo i jego wizja równowagi**

Spójrzmy na to w ten sposób: tak, „Pan Tadeusz” opowiada o społeczności zdecydowanie obcej doświadczeniom dzisiejszych, wciąż niestety zbyt homogenicznych kulturowo, uczniów szkół podstawowych. Utrwalone tam przedziwne zachowania – polowania z chartami, koncerty, uwłaszczanie chłopów czy pływanie za Łosośny brzegi – nie mają też niemal nic wspólnego z dzisiejszym kodem kulturowym.

Ale czy właśnie dlatego „Pan Tadeusz” nie powinien, w imię zgodności z deklaracjami ministerstwa, zostać zachowany w kanonie lektur szkoły podstawowej w całości?

Jeśli ten argument nie przekona reformaterek – pozostanie, jak sądzę, odczytanie XIX-wiecznego poematu w duchu queerowym. Bo tam, mospanie, nie przelewki! To nie trzymanie się za ręce, gest, który ostatecznie zdemaskował Alka i Rudego. Nie masz właściwie w „Panu Tadeuszu” niedomowień, na przykład jeśli idzie o charakter relacji łączącej starego Soplicę z Protazym Brzechalskim, trzeba mieć tylko bystry wzrok dr Kornelii Sobczak:

*...I musiał wszystkie dzienne rachunki przezierać;  
Nareszcie rzekł Woźnemu, że się chce rozbierać.*

*Wojciech Stanisławski*

**Przeczytaj również: inne felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”**